

# Gangster w pałacu

Zimą 1956 roku pierwszy raz odwiedził Warszawę amerykański teatr — Everyman Opera z Nowego Jorku. Z przedstawieniem znakomitym: „Porgy and Bess” George’a Gershwin. Całe miasto zatrzęsło się z wrażenia: Amerykanie w Warszawie! Pół miliona ludzi zaczęło uganiać się za biletami. Noce spędzano w kolejkach przed „Orbisem”, aby dostać się do „Romy”, gdzie grał przybysze. Sala zatłoczona pod sufit, wszyscy zalewają się łzami, gdy Bess — Ethel Ayler śpiewa dziecku kołysankę, nie kończąc się brawa, owacje. Ludzie oniemiała z zachwytu, porażeni nowością: tow. Bierut w Belwedrze, marsz. Rokossowski w MON, a tu... Amerykanie w Warszawie.

Od tamtego czasu dla mnie i mego pokolenia Gershwin stał się symbolem otwarcia, przemiany, wrotami do innego świata.

Z końcem zimy tego roku Teatr Studio, przy współpracy reżyserskiej Michaela Hacketta i muzycznej Stanisława Radwana, wystawił minimalistyczny zrzęcznie pozszywany z piosenek obu Gershwinów: wielkiego George’a i jego brata Iry’ego. Rzecz nazwano oczywiście... „Amerykanin w Warszawie”.

Jest to historia o tym, jak syn pewnego multimilionera założył w New Yorku teatr, a następnie musiał go bronić przed zakusami podstępного gangstera. Rzecz widzom Pałacu Kultury nieobca. Oczywiście młody człowiek jest zakochany, ojciec-milioner także, gangster ma kłopoty z żoną i wszystkim, po ucieczkach, wpadkach, awanturach i kanonadzie, kończy się happy endem — co jest od początku do przewidzenia. Ale nikt nie idzie na tego typu widowisko, by z wypiekami śledzić perypetie, lecz aby posłuchać świetnych piosenek w pierwszorzędnym wykonaniu, pośmiać się i odprężyć.

„Amerykanin w Warszawie” nie jest zapewne najambitniejszą intelektualnie pozycją repertuarową tego sezonu, ale jest dobrym teatrem rozrywkowym. Takim, jakiego teraz potrzebujemy

szczególnie nasza publiczność. Teatrem godnym zauważenia przez wzgląd na standard aktorstwa, wokalistyki i kultury zabawy. Widzom o wysokich ambicjach, alibi stwarza klasykę Gershwin, mogą więc chodźć spokojnie.

Reżyser amerykański Michael Hackett (pospołu z Claire Leddy — autor scenariusza) — wykonał swoje zadanie zawodowo tj. sprawnie i pomysłowo. Miło mi to wspomnieć, bo niedawno zmy-

talentowana artystka potrafi traktować własny styl interpretacyjny z pewną ironią, przymrużeniem oka, jako kanwę do autopastiszu. Akurat tutaj daje to świetne rezultaty, zwłaszcza że na dodatek Chodakowska znakomicie śpiewa (przydała się jej ta szkoła muzyczna, o przydała). Malajkat śpiewa także, choć na pewno nie jest solistą operowym, ale za to samym wdziękem na scenie. Mimo nieco in-



Krystyna Dobosz i Jerzy Zelnic w spektaklu „Amerykanin w Warszawie”.  
Fot. PAP/CAF — Andrzej Rybczyński

lem mu głowę za „Metamorfozy”. Małe, dowcipne baletki, dynamiczne układy ruchowe (ucieczki-pogonie gangsterów zabawnie naśladowujące slalomy), znakomite tempo, zaskakujące pointy sytuacyjne, cienia nudy, odrobiny złego smaku — czegoś więcej trzeba od tego rodzaju przedstawienia?

Na czele obsady: Anna Chodakowska (Lady Dallas Harrington) i Wojciech Malajkat (Tommy). Chodakowska jest aktorką bardzo wszechstronną, od — jak to niegdyś nazywano — „wysokiej tragedii”, aż po komedię muzyczną, ba... musical. Myślę, że wynika to m.in. z tego, że ta u-

fantycznych warunków, niezborynych ruchów przyszczatego chłopca i bezradnego spojrzenia naiwnych oczu. Ciepło, jakim obdarza stereotypową postać pozytywnego bohatera z operetki, procentuje sympatią widzowi, gapiostwo, nieporadność — budzą odrobinę współczucia, zaś bardzo sprawny warsztat aktorski dokonuje reszty. Jerzy Zelnic — niegdysiejszy faraon Ramzes — tutaj gangster teatralny (Dutch O'Malley) wystylizowany został na podrzędniejszego mafioso, który wprawdzie miota się i grozi, wprawdzie potrafi porwać 3/4 obsady, ale wieje przed histerycznymi atakami żony (granej

ognistym temperamentem i wielką vis comica przez Martę Dobosz). Słowem czołówka na piątkę (wg dawnego systemu ocen).

Ale, w obawie nadmiaru pochwał, należy zgłosić parę uwag krytycznych. Należy wysunąć zastrzeżenia pod adresem Polly (Magdalena Gnatowska) — bezbarwnej i sennej, która cały czas zachowuje się, jakby pozwalała do portretu. Stąd jej dbałość o optymalną oszczędność ruchu i mimiki. Dobre to może, ale nie w takiej sztuce, nie w tym przedstawieniu. Na odwrotnym biegunie sadowi się supermillioner J. Thomas Vendergriff III (Jacek Jarosz) najbliższy modelowym bogaczom z nieodżałowanych komedii antyimperialistycznych socrealizmu. Podobne postaci widywało się illo tempore w „Syrenie”. Ale i tam to już, minęło.

I jeszcze jedno: orkiestra głuszy nie tylko śpiewających, ale i dialogi. To pierwsze można od biedy zwalić na aktorów, ale drugie — już tylko na muzyków. Może więc warto pogadać, kto i co winien poprawić?

Wstęp na „Amerykanina w Warszawie” kosztuje tyle co 3 bilety tramwajowych. Sąsiednia fakcja z przedstawienia jest jednak odwrotnie proporcjonalna do satysfakcji z podróżowania miejscowymi środkami komunikacji. Radze więc oszczędzać na biletach MZK. Lękam się jedynie, czy Gershwin nie okaże się dla dzisiejszych nastolatków tym, kim był dla mego pokolenia, w latach szczenięcych. Strauss. Mimo tego radzę wszystkim życzliwie: jeśli chcecie się Państwo zrelaksować i posłuchać dobrych piosenek — idźcie obejrzyć przygodę teatralnego gangstera. W „Studio” — oczywiście.

ANDRZEJ HAUSBRANDT

91/92  
„Amerykanin w Warszawie” — piosenki George i Ira Gershwinowie, scenariusz — Claire Leddy, Michael Hackett, reżyseria i ruch sceniczny — Michael Hackett, instrumentacja piosenek — Stanisław Radwan, przekład piosenek — Jerzy Siemasz, przekład scenariusza — Andrzej Grządkowski, scenografia Krystyna Kamler, tańce — Melissa Monteros, Polska prapremiera — Teatr Studio scena w małarni, 1 marca 1992 r.